GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 CZERWCA 1937 R.

Nr. 12 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 12

1937 R.

15 — VI

BOHDAN ROSIŃSKI

MINIMUM PRZELUDNIENIA ROLNICZEGO

Szacunek przeludnienia wsi oparty na konkretnych danych spisowych posiada bezwzględną przewagę teoretyczną nad wszelkimi szacunkami wychodzącymi z ogólnych założeń optimum zaludnienia rolniczego, a prowadzi w rezultacie do tego samego obrazu przeludnienia wsi Polskiej, co praca Józefa Poniatowskiego.

Chociaż w tym czasie ukazywały się już w poszczególnych zeszytach „Rolnictwa" późniejsze rozdziały książki Józefa Poniatowskiego „Przeludnienie wsi", i chociaż całe to zagadnienie było już podówczas wyjątkowo aktualne w publicystyce ekonomicznej, to jednak artykuł pomieszczony w zeszycie 41 „Polski Gospodarczej" z dn. 12.X.35 r., omawiający ciekawe materiały, które na ten temat dostarczały ogłaszane właśnie w „Wiadomościach Statystycznych" zestawienia powiatowe danych spisu z roku 1931, minął jakoś bez echa i to pomimo swego wyraźnego tytułu: „Zbędne siły robocze w gospodarce włościańskiej w świetle spisu z 1931 r.". Zdawać się może, że nawet autor „Przeludnienia wsi" nie zwrócił nań zupełnie uwagi. Dowodziło to już wówczas, jak dalece bez echa mijają nie wyjaśnione dotychczas dostatecznie przez Gł. Urząd Statystyczny dane opisowe, ujęte w sposób bardziej skomplikowany i odbiegający od zwykłego szablonu, dowodzi to tego tem bardziej dziś, kiedy G. U. S. ukończył już publikacje powiatowe i częściowo wojewódzkie dla całej Polski, — a nawet podczas dyskusji, jaka się na temat przeludnienia wsi wywiązała, nikt nie powołał się ani razu na publikowane w tej sprawie dane Urzędu.

Tymczasem dane te są nader ciekawe. Pozwalają bowiem one na bardzo dokładne oszacowanie liczby dorosłych mężczyzn, którzy byli w dniu spisu „zbędni" w gospodarstwach ich żywiących, w najbardziej dosłownym sensie: poprostu mogliby pewnego dnia opuścić te gospodarstwa i bez żadnych zmian, ani własnościowych, ani technicznych w stosunkach rolnych, brak ich nie odbiłby się ujemnie na gospodarce rolnej.

Chłop, utrzymujący się głównie z gospodarki poniżej 2 ha, jest niewątpliwie niecałkowicie zatrudniony, obecność wielu takich osób świadczy wymownie o przeludnieniu wsi, o niemożności należytego wyzyskania pracy wielkiej gromady chłopskiej. Tem niemniej jednak bez zasadniczej zmiany struktury rolnej, któraby doprowadziła do zaniku podobnych karłowatych gospodarstw, chłopi ci, *już dziś* nie mogą być z roli usunięci bez zasadniczej perturbacji w produkcji rolnej.

I dlatego są oni jakby tylko potencjalnie „zbędni", a nie zbędni już aktualnie, co można bezwzględnie powiedzieć o tych wszystkich dorosłych mężczyznach, którzy siedzą bez innej pracy, jako drudzy, trzeci itd. mężczyźni dorośli w rodzinach chłopskich, których warsztat rolny nie przewyższał 2, czy nawet 5 ha. Otóż dane spisowe z roku 1931 zostały tak opracowane, że na ich podstawie można właśnie ustalić, ile było rozporządzających (własność lub dzierżawa) gospodarstwami poniżej 15 ha użytków rolnych rodzin chłopskich, w skład których wchodziło po dwóch i więcej dorosłych mężczyzn, zatrudnionych wyłącznie w danym gospodarstwie, przy czem rodziny te są podzielone według klas użytków rolnych (poniżej 2 ha, 2 — 5 ha, 5 — 10 ha, 10 — 15 ha), a

w każdej klasie użytków, w dotychczas opublikowanych danych — na dwie grupy: rodziny o dwóch dorosłych mężczyznach i rodziny o trzech i więcej dorosłych mężczyznach. Za dorosłych mężczyzn liczono mężczyzn w wieku od 18 do 60 lat. Przyjmujemy, że: 1) wszyscy drudzy i następni mężczyźni w gospodarstwach do 5 ha są „zbędni" na całym terenie Polski, 2) w gospodarstwach do 10 ha drudzy mężczyźni są „zbędni" we wszystkich gospodarstwach w województwach wschodnich i białostockim, we wszystkich gospodarstwach, w reszcie zaś województw, jedynie w 60% tych gospodarstw, 3) wszyscy trzeci i następni mężczyźni w gospodarstwach do 15 ha są „zbędni" na terenie całej Polski, 4) klasę rodzin chłopskich o trzech i więcej dorosłych mężczyznach będziemy przeliczać w ten sposób, jakby 60% tych rodzin należało do klasy o trzech dorosłych mężczyznach, 30% do klasy o czterech dorosłych mężczyznach, a 10% do klasy o pięciu dorosłych mężczyznach (patrz zeszyt 36, seria C „Statystyki Polski" — województwo Wileńskie), 5) obliczenia nasze ograniczamy tylkc do gospodarstw niezatrudniających obcych sił najemnych i położonych w gminach wiejskich.

Przy powyższych założeniach otrzymamy na dzień 9.XII.1931 r. 720 tys. dorosłych mężczyzn w rolnictwie samodzielnym, którzyby bez żadnych głębszych następstw dla produkcji rolnej mogli opuścić gospodarstwa, w których „pracują" obecnie. Jeżeli do tej liczby dodamy ze 376 tys. robotników rolnych mężczyzn, zamieszkałych w mieszkaniach własnych (nie w mieszkaniach służbowych i nie wraz z pracodawcą), tylko 86 tysięcy tych, którzy w dniu spisu określili siebie jako bezrobotni (budzą się wątpliwości co do istnienia obiektywnej możliwości zatrudnienia na wsi polskiej prawie 300 tys. „dochodzących" robotników rolnych, mężczyzn), to otrzymamy łącznie 806 tysięcy „zbędnych" dorosłych mężczyzn na wsi, chociaż pominęliśmy całkowicie wszystkie rodziny chłopskie, nie zatrudniające obcych sił najemnych, których wielkość warsztatu władania nie została w danych spisowych określona, a których w stosunku do całości rodzin było w spisie 1931 r. przeszło 8%.

Wychodząc z założenia, że w związku z zupełnym zahamowaniem emigracji z Polski i wyjątkowo słabym odpływem ze wsi do miast w latach 1932—36, liczba 806 tysięcy „zbędnych" dorosłych mężczyzn wzrosła przynajmniej do miliona, otrzymujemy, że na wsi obecnie liczba dorosłych „zbędnych" mężczyzn jest nie mniejszą, niż ogół dorosłych mężczyzn we wszystkich miastach Polski powyżej 100 tys. (Ludność tych miast wynosiła w dniu 9.XII.31 r. łącznie 3.349 tys., co przyjmując nawet, że mężczyźni stanowią 50% ogółu ludności, a mężczyźni dorośli 60% ogółu mężczyzn, daje właśnie milion dorosłych mężczyzn).

Do kogo nie przemówi wymowa tego zestawienia, komu te liczby nie naświetlą ogromu przeludnienia wsi, temu — naszem zdaniem — nie pomogą również żadne inne, choćby nawet najbardziej efektowne obliczenia, dotyczące przeludnienia wsi. Co więcej z przytoczonych liczb, nie korzystających — jak widzieliśmy — z żadnych skomplikowanych założeń, jak to czynią wszelkie obliczenia przeludnienia wsi, opierające się na tak zwanych hektarach obliczeniowych i na takim czy innym optimum gęstości zaludnienia rolniczego na 100 hektarów obliczeniowych, z równą siłą wynika potrzeba zastosowania w najbliższej przyszłości wyjątkowych zarządzeń, co z ustalonych dotychczas dla całej ludności rolniczej, groźnie brzmiących liczb 9 czy 5 milionów zbędnej ludności. Pierwszą liczbę wysunął — jak wiadomo — Józef Poniatowski, a drugą usiłował ustalić w zajadłej i doprawdy nie wartej tak wielkiego mozołu broszurce Rajmund Buławski.

Tymczasem wychodząc w rozważaniach naszych z liczb, dobieranych zawsze z chęcią chwycenia tylko bezspornych i natychmiast nadających się do wycofania „zbędnych" dorosłych mężczyzn w rolnictwie (to, że dla 725 tysięcy dorosłych mężczyzn z rodzinami głównem źródłem utrzymania jest w Polsce gospodarstwo poniżej 2 ha użytków rolnych, nie doczekało się np. żadnej wyceny w naszych obliczeniach), doszliśmy jednak do liczby miliona „zbędnych" dorosłych mężczyzn, co odpowiada czterem milionom ogółu ludności rolniczej (dorośli mężczyźni stanowią na wsi połowę mężczyzn, mężczyźni — dla prostoty rachunków — połowę ludności).

Przytoczyliśmy te obliczenia, aby doświadomić czytelnikowi, że nasz skromny milion nie odbiega znowu w gruncie rzeczy bynajmniej tak bardzo od owych pięciu czy nawet ośmiu milionów zbędnej ludności rolniczej, zwłaszcza, jeżeli ciągle pamiętać, że co do nas, chcemy zawsze mówić o swoistym „przeludnieniu" wsi, tym, którego odpływ nie zaważyłby zupełnie na gospodarczych potrzebach dzisiejszej wsi polskiej. Mając ten ostatni wzgląd stale na uwadze, szczególnie rażącą rzeczą w rozumowaniu na temat przeludnienia wsi jest dla nas wprowadzenie do tego rozumowania zagadnienia optimum zaludnienia rolniczego, zaraz bowiem wówczas zjawia się obliczanie tego optimum na podstawie poziomu rozwoju technicznego, zastosowanego gdzieindziej i zaraz widać brak rozumienia związku tego poziomu z ogólnym układem sił społecznych w naszym kraju. Gdyby taka technika była, jak nie jest... I zaczyna się bezpłodne „gdybanie".

Dlatego konkludując, uważamy, że dane spisowe w sprawie „zbędnych" w rolnictwie, jako oparte na konkretnej dzisiejszej rzeczywistości polskiej, mają bezwzględną przewagę nad wszelkimi, choćby opartymi na najlepszych założeniach wyliczeniami, dopuszczającymi takie czy inne „gdyby", natężenie zaś przeludnienia wsi z liczb spisowych wynika ani na jotę mniej groźne, jeżeli nie jeszcze groźniejsze, niż z oceny opartej na innych założeniach.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

FINANSOWANIE WOJNY I ZBROJEŃ

Ze wszystkich krajów europejskich jedynie Anglia jest dość bogata by pokrywać z dochodów bieżących wydatki na zbrojenia. Inne kraje muszą je finansować w mniejszym lub większym stopniu z dochodów przyszłych.

W zasadzie rzecz biorąc są trzy źródła pokrycia wydatków wojennych: podniesienie podatków, kredyt (wewnętrzny i zagraniczny), emisja pieniądza (inflacja). Podatki i emisja, jest to pokrywanie kosztów wojny (zbrojeń) z dochodów i majątku pokolenia obecnego. Kredyt natomiast (w tem i inflacyjny) jest przerzucaniem kosztów wojny na pokolenia przyszłe.

W praktyce, podczas wielkiej wojny, były w poszczególnych państwach kombinowane wszystkie trzy sposoby, w bardzo jednak różnych „proporcjach", zależnie od właściwcści struktury gospodarczej i psychiki ludności wojującego kraju. Abstrahujemy tu od czysto kupieckich kalkulacyj, od tego, że koszty wojny zaborczej, należałoby przerzucać na przyszłość, kiedy zdobycz zacznie się rentować. Takie rozważanie mogłoby być stosowane tylko do małej, kolonialnej wojny, nie angażującej wszystkich narodowych sił i środków, jak to miało miejsce w czasie wielkiej wojny, aczkolwiek charakter polityczny wojny (zaborcza czy obronna), w pewnym stopniu wpływa na wybór sposobu finansowania wojny.

W warunkach, gdy walka toczy się o cele nieograniczone, gdy jest walką o istnienie, chodzi o system finansowania, mobilizujący w jak najwyższym stopniu rozporządzalne środki materialne.

Rozpatrując politykę finansową poszczególnych uczestników wielkiej wojny stwierdzimy, że Anglia w najwyższym stopniu ze wszystkich wojujących krajów pokrywała koszty wojny zwyżką podatków (28%), następnie zaciągała kredyty i tylko w nieznacznym stosunkowo stopniu zużytkowała emisję.

Francja pokrywała swoje wydatki emisją, kredytem i tylko w nieznacznym stopniu podniesieniem podatków.

W Niemczech oparto się głównie na kredycie, w drugiej linii na emisji. Niemcy bowiem prowadząc wojnę zaborczą liczyły na zwrot jej kosztów w postaci kontrybucji, a również na krótkie jej trwanie. Przeciąganie się wojny uczyniło kredyt niedostatecznym źródłem, podatków jednak nie zwiększono, natomiast wykorzystano emisję, idąc po linii mniejszego oporu.

Wreszcie Rosja wykorzystała w ogromnym stopniu emisję, mniej kredyt i niemal zupełnie nie podniosła podatków.

Rosyjski znawca polityki wojenno-gospodarczej — Bukszpan — nazywa system angielski kredytowo-podatkowym, niemiecki — kredytowym, francuski — kredytowo-emisyjnym, rosyjski — emisyjno-kredytowym.

Różnice te bynajmniej nie były przypadkowe i wcale nie wynikały z predylekcji czynników kierujących w tych państwach do takich a nie innych metod finansowych.

Więc po pierwsze Anglia. Anglia jest dość bogata, by móc dużo zaczerpnąć z dochodów obecnych. Ludność kulturalna, o olbrzymim poczuciu obywatelskim, stopień rozwoju gospodarczego bardzo wysoki, stanowią czynnik pozwalający na bardzo znaczne podniesienie podatków bez obawy sabotażu. Technicznie jest to dość łatwe — wystarczy podnieść zawsze elastyczną stopę podatku dochodowego. Poza tem bogatemu zawsze łatwo o kredyt zarówno u swoich, jak i u obcych. Słowem, konieczność forsowania emisji odpadała. A emisja to przecież też podatek, też, jak wspomnieliśmy wyżej, pokrywanie wydatków z dochodów (lecz także i rezerw) istniejących. Emisja jest niezbędna wtedy, gdy w drodze podatkowej ze względu na charakter struktury gospodarczej kraju lub psychikę ludności, dochodów uchwycić nie można. Tak było we Francji, która nie znała wówczas np. podatku dochodowego. Francuz nie lubi, by znano wysokość jego dochodów, ale pożyczyć pieniądze zagrożonej ojczyźnie, nawet nie licząc zbytnio na zwrot — może. Oczywiste jest, że przy pomocy żadnego podatku, a więc i podatku inflacyjnego, nie można wyciągnąć więcej realnego dochodu z danego gospodarstwa narodowego niż ono ma. Ale Francja jest bogata, a ponieważ przy tem podatek inflacyjny obejmuje nie tylko dochód, lecz i istniejące oszczędności, których we Francji było dużo, emisja była w tych warunkach realnie bardzo efektywna.

Niemcy były przede wszystkim odcięte od źródeł kredytu zagranicznego, nie były tak bogate jak Francja i Anglia, ludność jednak miały zdyscyplinowaną i ofiarną. Były zatem w Niemczech warunki do podniesienia podatków, choć nie mogły one przenieść tyle co w Anglii. Ze względów jednak na wspomniane kalkulacje polityczne nie uczyniono tego. Trzeba było zatem wykorzystać dodatkowo emisję i docisnąć wszystkie wewnętrzne źródła kredytowe.

Rosja korzystała z kredytu swych sojuszników, liczących na jej nieprzebrane zasoby. Podatków nie podnosiła, ze względów socjalno-politycznych, wykorzystywała natomiast na wielką skalę emisję, bo zjawiska spadku siły nabywczej pieniądza szerokie masy wówczas nie rozumiały i nie umiały się chronić przed podatkiem inflacyjnym.

Finansowanie zbrojeń jest z gospodarczego punktu widzenia zadaniem jakościowo takim samym, jak finansowanie wojny. Różnica jest raczej ilościowa, z tem zastrzeżeniem, że się nie ma odciętych dróg dowozu, — słowem — jest łatwiejsze. Rozumując w ten sposób dochodzimy do wniosku, że metody finansowania zbrojeń powinny być w każdym kraju takie

same, jak metody finansowania wojny. I istotnie analizując metody finansowania zbrojeń poszczególnych państw europejskich w dobie obecnej dostrzegamy, że są to zasadniczo te same metody, jakie były stosowane w czasie wielkiej wojny, z tą różnicą, że technika finansowo-gospodarcza została wybitnie udoskonalona.

Niemcy hitlerowskie obniżyły stopę życiową i ograniczyły rozporządzalność zyskami ponad 6%, to znaczy sięgnęły po dochody bieżące. Emisji pieniądza nie zastosowały, bo jest to środek zawsze ostateczny i mający moc niedogodności. Największa z nich bodaj w warunkach gospodarki planowej — to nieobliczalność. W wyborze zatem techniki obciążania dochodów bieżących Niemcy poprawiły swój błąd z czasów wojny. W ogóle konieczność emisji to symptom złej organizacji społeczno-gospodarczej (niekoniecznie ubóstwa — vide Francja). Natomiast Niemcy zastosowały na szeroką skalę inflację kredytową, czyli finansowanie obecnej działalności gospodarczej z dochodów przyszłych. Niemcy, mimo sporej zamożności są jednak, jak się okazuje za biedne, by sfinansować nie tylko wojnę, ale nawet i forsowne zbrojenia całkowicie z dochodów bieżących (Sapienti sat).

Niemcy rozpoczęły akcję zbrojeniową w okresie depresji, używając tej akcji do nakręcania ogólnej koniunktury gospodarczej. W okresie depresji rosną jak wiadomo płynne rezerwy finansowe. Uruchomienie tych rezerw jest punktem wyjścia do nakręcania koniunktury. Dopiero po tem uruchamia się kredyt inflacyjny i konfiskuje się przyrost dochodów, powstały z nakręcania koniunktury, na dalsze jej podsycanie.

Nie znam włoskiego systemu finansowania wielkiej wojny, ale nakręcanie koniunktury we Włoszech było podobne do systemu niemieckiego w zakresie zużytkowywania — vel zamrażania — rezerw. W wyniku owego „zamrażania" rezerw i uruchamiania kredytów inflacyjnych powstały inwestycje o znaczeniu gospodarczym, półwojskowym i ściśle wojskowym. Drenowano rynek finansowy i pola równocześnie.

Gdy nadeszła fala wysokiej koniunktury światowej, sytuacja stała się trudniejsza. Nikt nie może uruchomić więcej środków niż ich posiada. Gdy zaczęło się ożywienie o charakterze czysto gospodarczym, powstało zapotrzebowanie na te rezerwy i środki, którymi operowano dla celów dozbrajania się i nakręcania koniunktury. Nie zwolnić tych środków — znaczyłoby hamować rozwój koniunktury. Zwolnić zupełnie — znaczyłoby zahamować zbrojenia. Przed takim dylematem stanęły teraz Niemcy i rozstrzygają go, jak się zdaje, krakowskim targiem.

Wysoka koniunktura światowa okazała się więc czynnikiem nie sprzyjającym zbrojeniom Niemiec. I w tym właśnie momencie Anglia ogłosiła światu, że rozpoczyna wykonywanie wielkiego programu zbrojeniowego — przy wysokiej koniunkturze i rosnących cenach. Z ogłoszonych planów wynika, że i dziś tak samo, jak podczas wojny Anglia będzie finansowała zbrojenia w dużym stopniu z dochodów bieżących, zresztą, zgodnie z logiką indywidualną, że się dużo wydaje wtedy, jak się dużo zarabia. A dochody są przecież największe w okresie wysokiej koniunktury. Prawda, Anglia zaciąga dużą pożyczkę na rynku wewnętrznym, lecz pożyczka ta, zaciągana w okresie zwyżkowej koniunktury, jest pokrywana z nowo-tworzących się oszczędności, powstających z bieżących zysków, nie zaś środków wycofanych z obiegu na skutek depresji. Możemy zatem twierdzić, że pożyczka ta jest pokrywana z dochodów bieżących, stwarzanych przez wysoką koniunkturę.

Niemcy i Włochy natomiast muszą przesuwać środki finansowe, lokowane w czasie depresji w inwestycjach o rentowności pośredniej, do innych działów życia gospodarczego, które wówczas nie mogły rentować, a dziś już mogą. Nie sposób takiej operacji dokonać zbyt prędko, to też kraje te muszą dopiero czekać na wzrost dochodów i zysków, — wzrost, który w Anglii już nastąpił. Znaczy to, że Anglia może dziś nadrabiać swe opóźnienie w dziedzinie zbrojeniowej, ale nie znaczy bynajmniej, aby Niemcy i Włochy zawiodły się na swej polityce. Sytuacja jest zupełnie normalna i należy przypuszczać, że była przez czynniki kierownicze Niemiec i Włoch przewidywana, a ta okresowa przewaga, jaką im stworzyła depresja, została wykorzystana w całej pełni.

Należy przy tem podkreślić, że aczkolwiek „zamrożenie" rezerw w różnych inwestycjach o rentowności pośredniej lub odroczonej stwarza pewne trudności, to równocześnie przynosi i zyski. Bo niewątpliwie zbudowane drogi, uregulowane rzeki i zmeliorowane pola przyczyniają się do wzmożonego wykorzystywania wysokiej koniunktury i podnoszenia rentowności jednostek gospodarczych, obliczonych na rentowność bezpośrednią. Trudności sprowadzają się zatem do braków w dziedzinie środków obrotowych, a nie w dziedzinie aparatu bezpośrednio wytwórczego. A chyba jest rzeczą bezsporną, że brak środków obrotowych jest mniejszym złem, niż brak kapitału zakładowego, bo łatwiej je uzupełnić, a przynajmniej złagodzić brak przy pomocy zarządzeń techniczno-finansowych, przy czem dokonywa się to szybciej niż rozbudowa aparatu wytwórczego i nie przyczynia się do powstawania atmosfery boomu wraz z towarzyszącą mu niezdrową galopadą cen. Dodajmy do tego, że wszelkie inwestycje w okresie depresji robiono tanio, co wzmaga ich rentowność (w najbardziej ogólnym tego słowa znaczeniu) i przyśpiesza amortyzację w okresie poprawy.

Dla pełności obrazu wspomnijmy jeszcze o Francji. I swoje zbrojenia i swoje eksperymenty socjalne finansuje ona takiemi metodami, jakie stosowała w czasie wojny, a więc przy pomocy operacyj kredytowo-pieniężnych: przeprowadziła dewaluację, zaciąga pożyczki. Dewaluacja w warunkach wzrostu cen jest jednorazowym opodatkowaniem rezerw, co wybitnie różni dewaluację franka od dawniejszej dewaluacji funta. Poza tem jest to rozszerzenie podstawy emisyjnej. System z punktu widzenia miłośników planowości i organizacji, powiedzmy „bałagański", ale w obfitującej w płynne oszczędności Francji — efektywny, oraz dla tak bogatego kraju — nie niebezpieczny. Inny zaś system, np. podniesienie podatków — jest wręcz niemożliwy.

Jakież można z tego wszystkiego wysnuć wnioski na własny użytek? Polska jest krajem jeszcze uboższym niż Niemcy i Włochy, to też niepodobna nam marzyć o pokrywaniu kosztów zbrojeń w dużym stop-

niu z dochodów bieżących. Aczkolwiek opory psychiczne w stosunku do płacenia podatków w Polsce są mniejsze niż we Francji, to jednak i tak dość duże obciążenie podatkowe społeczeństwa nie stwarza dziś możliwości większego wykorzystania tego źródła. Nie znaczy to oczywiście, że nie można byłoby tego zrobić podczas wojny. Sądzę, że można byłoby to zrobić i że należałoby nawet w pewnym sensie traktować zdolność podatkową społeczeństwa polskiego jako finansową rezerwę wojenną.

Możnaby wprawdzie twierdzić, że na skutek poprawy gospodarczej zdolność podatkowa społeczeństwa wzrosła. Jednak „wygłodzenie" naszego gospodarstwa narodowego zarówno pod względem konsumcyjnym jak i inwestycyjnym w ciągu kryzysu było ogromne. My bowiem drenowaliśmy rynek finansowy, ale nie drenowaliśmy pól. Upłynnione na skutek depresji rezerwy zostały u nas w dużym stopniu zużyte nie na tworzenie wartości gospodarczych lub nawet pozagospodarczych (zbrojenia), lecz na pokrywanie deficytów budżetowych, a więc z racji struktury naszego budżetu — na cele głównie konsumcyjne. Aparat wytwórczy w całości, a więc obiekty o rentowności pośredniej (drogi, kanały), jak i o rentowności bezpośredniej, jednakowo zdewastowały się częściowo podczas kryzysu. W konsekwencji, przy wykorzystywaniu dobrej koniunktury mamy dziś główne trudności nie w zakresie kapitałów obrotowych, lecz w dziedzinie kapitałów stałych.

Płynność naszego rynku kredytowego nie jest wskaźnikiem obfitości kapitałów obrotowych, lecz niedostatecznej podstawy wytwórczej. W tych warunkach wycofywanie nowopowstających oszczędności z bieżących zysków na cele zbrojeń hamowałoby proces renowacji i rozrastania się aparatu wytwórczego, czyli w rezultacie podkopywałoby długoletni proces narastania potencjału wojenno - gospodarczego dla celów mniej lub więcej doraźnych postępów i potrzeb na tym polu.

Jedyne, co można było zrobić, by częściowo naprawić ów grzech przeszłości, już zostało zrobione. Mam na myśli podatek specjalny od uposażeń. Jest to swoiste „upłynnienie" sum „wydrenowanych" z rynku pieniężnego w czasie depresji i „zamrożonych" w deficytach budżetowych. Polityka ta była jakby podtrzymywaniem produkcji po przez finansowanie konsumcji warstwy urzędniczej, której zdolność nabywcza w czasie kryzysu realnie wzrosła. Dziś ta kryzysowa nadwyżka została potraktowana jako pożyczka i zwracane sumy służą ożywieniu życia gospodarczego, w tem i procesów inwestycyjnych. Jest to gospodarczo celowe i poniekąd nawet sprawiedliwe. Mówię — poniekąd — bo pożyczek konsumcyjnych lepiej jest wcale nie dawać, a zwracanie tej pożyczki, czyli zmniejszanie siły nabywczej w okresie ogólnego wzrostu i dochodów i cen musi wbrew wszelkiej rozumowej logice stwarzać poczucie pokrzywdzenia, a w każdym razie gorszego samopoczucia.

Słowem, przeznaczać dochodów bieżących na cele zbrojeń więcej, niż ich przeznaczamy, chyba nie można. Pozostaje więc przerzucanie ciężaru na dochody przyszłe, zgodnie z wnioskami, jakie nasuwa obserwacja polityki innych państw, z których wynika, że tylko państwa bardzo bogate mogą na ten cel głęboko sięgać po dochody bieżące i istniejące już dzisiaj rezerwy.

Co do rezerw, to wynikałoby z powyższego, że naruszanie ich w momencie ekspansji życia gospodarczego również nie byłoby wskazane. Przesądza to stosunek do wszelkich projektów dewaluacyjnych, gdyż dewaluacja byłaby równoznaczna z opodatkowaniem, a raczej częściową konfiskatą rezerw. Wydaje się jednak, że dzięki niedokończeniu procesów likwidacyjnych podczas kryzysu i wskutek tego niedostatecznej odbudowie zdolności kredytowej wielu jednostek gospodarczych, istnieją dziś jeszcze rezerwy finansowe, po które można sięgnąć drogą normalnych operacyj kredytowych.

Gdyby jednak chodziło o akcję na szeroką skalę, to jedyną formą finansowania zbrojeń dla Polski z uwagi na całokształt stosunków byłoby przerzucenie ciężaru wydatków na przyszłe dochody w formie np. inflacji kredytowej, pod warunkiem dobrze przemyślanej techniki takich operacyj. Polska bowiem jest krajem, który ma dane na to, by liczyć na rozwój gospodarczy, a zresztą poprostu musi ten cel osiągnąć.

Ze strony ludzi myślących wyłącznie kategoriami finansowemi może być wysunięty w danym wypadku argument ryzyka finansowego takich operacyj, którego rozmiary są oceniane na podstawie widoków realizacji rozwoju gospodarczego w przyszłości.

Ze wszystkich jednak ryzyk związanych z istnieniem naszej państwowości i prowadzeniem ogólnej polityki, ryzyko finansowe należy do najmniejszych. Dowód w tem, że ryzyko wszelkich lokat zagranicznych w Polsce jest oceniane głównie pod kątem widzenia ryzyka politycznego. Im mniej się Polska zbroi, im będzie słabsza militarnie, tem większe jest ryzyko finansowe dla zagranicznego finansisty. Z punktu widzenia ryzyka politycznego, stwarzanego przez układ obiektywnych warunków dla naszej państwowości jest rzeczą zupełnie obojętną, czy zaangażowawszy się w zbrojenia nie podołamy ciężarom, zawiódłszy się w rachubach na przyszłe dochody, czy też zupełnie nic nie zrobimy z obawy ryzyka finansowego. W pierwszym wypadku można liczyć, że wszelkie udane początki zostaną poparte przez zainteresowane politycznie czynniki zagraniczne. Sądzę, że ryzyko polityczne jest nieporównanie ważniejsze od ryzyka finansowego, które w wypadku wojny zostaje zresztą zupełnie przekreślone.

Jeśli chodzi o politykę finansową podczas wojny, to na podstawie porównawczej analizy naszej struktury gospodarczej można było by sformułować zasady tej polityki w ten sposób, że w porównaniu do wymienianych na początku państw, musielibyśmy bardziej równomiernie naciskać na wszystkie trzy źródła finansów wojennych: podatki, kredyt i emisję. Podatki — bo możemy je powiększyć bardziej niż Francja, choć nigdy nie uzyskamy z tego źródła tyle co Anglia. Z uwagi na niski poziom organizacyjny naszego życia gospodarczego wiele dochodów i rezerw będzie mogło być uchwycone jedynie przy pomocy emisji, aczkolwiek ten środek będzie u nas chyba relatywnie mniej efektywny jak we Francji. Kredyt obejmie tylko rezerwy widoczne, które u nas

obejmują mniejszą niż w innych krajach część rezerw faktycznie istniejących.

W dziedzinie zatem finansowania wojny, Polska, jak niemal we wszystkich dziedzinach, nie może prowadzić polityki jednostronnej, musi szukać równowagi i „złotego" środka. Ma to swoje zalety, ale ma i wady, bo wszelkie działanie jednostronne jest łatwiejsze do skonstruowania i myślowo i organizacyjnie. W razie jednak dobrej konstrukcji techniczno-organizacyjnej system taki byłby chyba najbardziej wydajny pod względem zmobilizowania na cele wojenne rozporządzalnych środków materialnych. Jest to zaleta olbrzymia dla kraju niezbyt bogatego w te środki.

U W A G I

WIELKIE PRZEDSIĘBIORSTWA A KONIUNKTURA

Sfery gospodarcze, czy powiedzmy ściślej świat wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, bankowych i handlowych, w szeregu wystąpień wysuwa na czoło zagadnień chwili obecnej dwie sprawy. Pierwsza z nich to niedorozwój prywatnych inwestycyj produkcyjnych w okresie, w którym inwestycje o charakterze robót publicznych osiągnęły już dość poważną skalę. Druga, to nadmierny udział państwowego aparatu kredytowego w gromadzeniu wkładów, słabe alimentowanie bankowości prywatnej, t. zn. tej części naszego aparatu kredytowego, która jest najbardziej zdolna do dokonywania czynnych operacyj kredytowych.

Dlaczego — w pierwszem zdaniu tej uwagi — zastąpiliśmy ogólnikowe pojęcie sfer gospodarczych bardziej konkretnym pojęciem „świata wielkich przedsiębiorstw"? Dlatego, że bolączki te dotyczą, względnie stanowią novum tego przede wszystkim świata. Ożywienie biernej i czynnej działalności kredytowej prywatnego aparatu kredytowego stosunkowo nie wiele da drobnemu warsztatowi rzemieślniczemu, czy drobnemu handlowi. Wiemy przecież dobrze, że skargi drobnych przedsiębiorców na niedostosowanie aparatu kredytowego do ich potrzeb mają charakter chroniczny. Wiemy, że skargi te wynikają nie ze specyficznej sytuacji, w jakiej znalazł się aparat kredytowy dziś, lecz wiążą się z pewnemi stałemi cechami tego aparatu, niedostępnego najczęściej dla drobnej przedsiębiorczości, skazanej bądź na dyskontera prywatnego, bądź na finansowanie przez dostawców z kategorii wielkich przedsiębiorstw, bądź — najczęściej — ograniczonej do własnych środków kapitałowych. Również kwestia inwestycyj przedstawia się odmiennie dla wielkich i drobnych przedsiębiorstw. Niemożność sprostania narastającemu popytowi rynku wewnętrznego, występuje znacznie jaskrawiej w wielkich niż w małych przedsiębiorstwach.

Przedsiębiorstwa małe na ogół biorąc mają chachakter zakładów wytwórczych, w których nakład kapitału stałego na jednostkę wytwórczości, stosunek tego kapitału do pracy, jest niższy, niż w wielkich przedsiębiorstwach. Zdolność produkcyjna tych przedsiębiorstw daje się zwiększyć w drodze stosunkowo skromnych nakładów (skromnych — nawet z uwzględnieniem nie wielkich rozmiarów przedsiębiorstwa). Wreszcie w drobnych przedsiębiorstwach tryb finansowania inwestycyj w drodze t. zw. Selbstfinanzierung jest niepomiernie łatwiejszy.

Skrajnym i dlatego może już nie typowym przykładem, może tu być kwestia drobnych gospodarstw chłopskich, które w ciągu ubiegłegi roku dokonały bardzo poważnych inwestycyj, (maszynowych itp), w drodze „zaciskania pasa". Jak wykazują dane Wydziału Ekonomiki PINGW,wzrost przychodu gotówkowego drobnego rolnictwa, jaki dokonał się w roku 1935/36, nie spowodował wzrostu spożycia właścicieli drobnych gospodarstw rolnych, lecz w całości został obrócony na zwiększenie inwestycyj.

Pomijam w zupełności kwestię, czy z punktu widzenia najbardziej prawidłowego rozwoju gospodarstwa społecznego można uznać taki stan rzeczy, o jakim za chwilę będę mówił, za szczęśliwy. Faktem jest jednak, że w typowym procesie koniunkturalnym, właśnie wielkim przedsiębiorstwom przypada rola rozkręcania koniunktury przez dokonywanie prac inwestycyjnych przez wsysanie kredytów, płynących silniejszym strumieniem z aparatu kredytowego. Ta sama grupa przedsiębiorstw reprezentuje zazwyczaj ową rezerwę zdolności produkcyjnej, która w czasie kryzysu wydaje się zbędna, a w okresie prosperity pożyteczna. Jest to zrozumiałe z chwilą, kiedy się zważy, że domeną wielkich przedsiębiorstw są przede wszystkim te gałęzie przemysłu, w których skala inwestycyj i ich charakter techniczny sprawiają, że cykl inwestycyjny jest bardzo długi — budowa wielkiego pieca np. czy nowej kopalni trwa lat parę.

Przedsiębiorstwa drobne łatwiej przetrzymują kryzys, ale też w mniejszej mierze na ogół włączają się w ekspansywny prąd poprawy — co zresztą jest ze sobą nawzajem związane. Przedsiębiorstwom wielkim w typowym procesie koniunkturalnym przypadała rola specjalna, — doprowadzenie rozwoju koniunkturalnego do szczytu, (a tem samem i do załamania). Obiektywizm nakazuje stwierdzić, że roli tej przedsiębiorstwa wielkie spełnić dziś nie mogą, że w wielu wypadkach istotnie ich rezerwa produkcyjna w okresie kryzysu stopniała, a dopływ środków kredytowych jest dla niektórych przedsiębiorstw zbyt nikły, aby umożliwić ekspansję.

Do tego punktu zatem podzielamy opinie, wygłaszane przez przedstawicieli wszelkiego rodzaju Lewiatanów. Istotnie, w chwili obecnej warunki ukła-

dają się tak, iż pomimo całego uprzywilejowania przedsiębiorstw wielkich w stosunku do przedsiębiorczości drobnej (zjawisko chroniczne w Polsce) wielkie przedsiębiorstwa nie mogą rozwinąć normalnej ekspansywności. Natomiast wyjaśnienia przyczyn tego stanu rzeczy i propozycje środków zaradczych, z jakiemi spotykamy się ze strony przedstawicieli przemysłu, są absolutnie nie przekonywujące.

Usiłuje się mianowicie zwalić całą winę na etatyzm. Etatyzm kredytowy powoduje rzekomo, że niepomiernie silniej rosną wklady w Banku Gospodarstwa Krajowego niż w aparacie prywatnym. Bank Gospodarstwa Krajowego nie umie, czy nie chce, finansować przedsiębiorców prywatnych, kapitał nie dopływa do nich. Państwo zabiera z rynku sztywnego środki na plan inwestycyjny, — nie wystarcza środków na inwestycje prywatne. Mogłoby tak być, ale tak nie jest. To znaczy ściślej: fakty podstawowe są zgodne z rzeczywistością ale interpretacji ich wydaje się błędna.

Plan finansowy istotnie jest największym konsumentem środków kapitałowych i istotnie zbiornice państwowe notują najsilniejszy przyrost wkładów. Ale z tego bynajmniej nie wynika jeszcze to, co twierdzą przedstawiciele przemysłu. Dwie proste cyfry zaprzeczają popularnej antyetatystycznej interpretacji położenia rynku kredytowego. W ciągu ostatniego roku pomimo niezbyt wielkiego wzrostu wkładów w bankach prywatnych banki te nietylko zmniejszyły swe redyskonto w Banku Polskim, ale jednocześnie powiększyły swą płynność, czyli innymi słowy niewykorzystywują nawet tych możliwości kredytowania, jakie posiadają. Pocóż zatem środki dodatkowe?

Czy wina małej aktywności leży po stronie prywatnego aparatu kredytowego? Czy przez kaprys nie zwiększa on operacyj? — Oczywiście nie. — Co stoi na przeszkodzie? — Wystarczy zapytać w cztery oczy każdego bankiera. Odpowiedź będzie prosta. — Nie ma dobrych lokat. — Jak to nie ma dobrych lokat? Przecież poprawa jest niewątpliwa. Przecież nietrudno znaleźć przedsiębiorstwa, dysponujące pięknemi możliwościami zbytu, sprężyście prowadzone, wzbudzające zaufanie co do swej przyszłości.. Przyszłości być może, natomiast przeszłość odzwierciedlona w stanie finansowym jest zła. Nawet przedsiębiorstwa, które bezwzględnie należałoby zaliczyć do kategorii lepszych, są często przekredytowane, mają zbyt mało kapitału własnego, mają w aktywach zbyt wiele niepewnych wierzytelności a ich passywa podczas kryzysu nie zmniejszyły się przez odpisanie sum, które właściwie uznać należało za nierealne. Zanotujemy ten stan faktyczny w pamięci, gdyż wiąże on się z drugim problemem, problemem braków inwestycyjnych w wielkich przedsiębiorstwach.

Czyżby rzeczywiście — jak to twierdzą „sfery gospodarcze" — wielkie przedsiębiorstwa nie dokonywały dotychczas inwestycyj z obawy przed konkurencją przedsiębiorstw państwowych? Znów moglibyśmy powiedzieć, że mogłoby tak być. Mogłoby tak być w wypadku gdyby upaństwowianie przedsiębiorstw było w Polsce planową systematyczną akcją, wiemy jednak, że jest odwrotnie, że postępy etatyzmu nie wynikały z planu, tylko z przypadku, wiemy też, że przez wiele lat dokonywanie inwestycyj nie było kwestią chęci, a możliwości. Pocóż mówić o chęciach kiedy jasne jest, że w przemyśle wolno-konkurencyjnym przy ostrym spadku cen nie było miejsca (poza wyjątkowemi dziedzinami) na działalność inwestycyjną, zaś w przemyśle skartelizowanym ex definitione niejako inwestycje odbywają się przed zawiązaniem kartelu, natomiast podczas jego istnienia o inwestycjach nie ma mowy.

Na tle powyższych uwag możemy dojść do określenia istoty trudności przeżywanych dziś przez wielkie przedsiębiorstwa. Szukać jej musimy nie w polityce dzisiejszej, lecz w polityce lat ubiegłych. Z jednej strony mam tu na myśli deflację zbyt długo stosowaną w Polsce jako zabieg samolecznictwa, z drugiej zaś niezdecydowanie polityki w odniesieniu do procesów likwidacyjnych. Gdybyśmy bądź poszli po drodze zdecydowanego oddłużenia, bądź też odwrotnie dopuścili do pełnej swobody egzekucyjnej, ostałaby się na rynku mniejsza czy większa ilość przedsiębiorstw ale za to przedsiębiorstw zdrowych, nadających się do kredytowania. Zamiast podtrzymywać stopniowo niszczejące istalacje w zbyt wielkiej liczbie przedsiębiorstw, mielibyśmy zamknięcie niektórych przy jednoczesnym usprawnieniu innych, co dawałoby rekompensatę z nadwyżką. Przedsiębiorstwa czasowo zlikwidowane odegrałyby rolę rezerwy produkcyjnej dziś uruchamianej, — gdyby nie polityka antylikwidacyjna i polityka kartelowa, dążąca do konserwowania wszystkich przedsiębiorstw choćby na najniższej „stopie życia". Gdybyśmy nakręcanie koniunktury zaczęli wcześniej, mielibyśmy już za sobą ten okres, który przeżywamy dziś dopiero, okres kiedy inwestycje publiczne podniecając tempo życia gospodarczego, stopniowo, choć powoli uzdalniają przedsiębiorców prywatnych do podejmowania inwestycyj i uzyskiwania na nie kredytów.

Tyle co do diagnozy. Nie będę mówił o terapii, gdyż wynika ona jasno z wywodów poniższych: sprawa ułatwienia procesów likwidacyjnych i sprawa wzmożenia tempa robót publicznych pozostaje nadal w pełni aktualna pomimo poprawy koniunktury. Leży to nietylko w ogólnym interesie gospodarczym, ale nawet w węższym interesie wielkich prywatnych przedsiębiorstw. Oczywiście nie wszystkich, a tylko tych, które są zdolne do życia i pracy.

Na zakończenie jeden truizm. Na tle omówionego wyżej zagadnienia staje się raz jeszcze jasne, że naprawdę silny wpływ polityka gospodarcza jest w stanie wywrzeć dopiero na długi dystans. Stan dzisiejszy jest obciążony posunięciami polityczno-gospodarczymi z przed lat paru. Pełne skutki dzisiejszej polityki wystąpią również dopiero za lat parę.

Losy projektu ustawy, dotyczącej finansów komunalnych, nie dezaktualizują w naszym przekonaniu sprawy, lecz przeciwnie, skłaniają do rozwinięcia dyskusji na ten temat.

Dyskusję tę rozpoczynamy w niniejszym numerze, narazie w sposób urywkowy.

REDAKCJA

NA MARGINESIE DYSKUSJI W SPRAWACH SAMORZĄDOWYCH

W związku z odbywającą się nadzwyczajną sesją sejmową prasa wszelkich odcieni tak codzienna, jako też zawodowa, jest przepełniona ścierającymi się poglądami w zakresie zasadniczej ustawy samorządowej — o uregulowaniu finansów komunalnych. Przedmiot polemiki jest tembardziej atrakcyjny, że daje możność tak poszczególnym jednostkom, jak też i grupom społecznym, czy politycznym przystrajania się w togę obrońców „żywotnych interésów" obywateli.

Co stanowi przedmiot sporu tak namiętnie prowadzonego? Czy przeciwnicy wprowadzenia dodatku komunalnego do państwowego podatku dochodowego są zaprzysiężonymi wrogami samorządu? Sądzę, że nie. Przypuszczam, że im również chodzi o to, by miasta nasze posiadały wszystkie te urządzenia, które stanowią o kulturze miast zachodnio-europejskich. Wydaje się mi, że przeciwnicy wprowadzenia nowego bezpośredniego podatku na rzecz samorządów zwalczają nowy podatek przede wszystkim dlatego, że każdy podatek od początku świata był zawsze niepopularny. Tak jest i obecnie. Sprzeciw dla zasady. Bo w rzeczywistości wprowadzenie nowego podatku spowoduje nie tyle nowe obciążenia obywateli, ile przesunięcie dotychczasowych obciążeń z warstw biednych na sfery zamożniejsze, dając zarazem zdrowe podstawy działania samorządom i usuwając zjawiska od lat powszechne, aczkolwiek niespostrzegalne, tem niemniej szkodliwe.

O tych właśnie anomaliach słów parę dla udowodnienia wyżej przytoczonego paradoksu.

Jeżeli przyjrzymy się olbrzymiej większości budżetów miast średnich i większych, to spostrzegamy, że procentowy udział podatków bezpośrednich po stronie przychodowej budżetów jest znikomy. Tem niemniej samorządy spełniają w olbrzymim zakresie czynności zlecone, do wykonywania których muszą utrzymywać całe sztaby urzędników (meldunki, sprawy wojskowe). Samorządy te wykonywują — objektywnie rzecz biorąc — na ogół znaczne inwestycje. Upewnia nas w tym twierdzeniu przegląd tego, co stanowiło inwestycje użyteczności publicznej w poszczególnych miastach przed 10-ciu laty, a co jest obecnie. Inwestycje te są małe, za nikłe w stosunku do potrzeb, ale często wielkie w stosunku do możliwości finansowych. Samorządy wreszcie łożą dość duże sumy na utrzymanie szpitali, szkół itp. Skąd zatem posiadają one wpływy na ponoszenie tak znacznych wydatków?

I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Samorządy pokrywają swoje olbrzymie deficyty z nadmiernych zysków, osiąganych przy eksploatacji przedsiębiorstw użyteczności publicznej.

Ileż to razy, gdy władze państwowe postanowiwszy dokonać obniżki ceny maksymalnej za prąd elektryczny na terenie całego państwa, przychodziły z tym samym żądaniem do samorządu i musiały wycofać się z zamierzenia, stając w obliczu wywrócenia całego budżetu miasta. Cóż z tego, skoro najbiedniejszy obywatel nie mógł pozwolić sobie na luksus oświetlenia elektrycznego, gdyż w czasie największego kryzysu był zmuszony płacić nonsensową, astronomiczną cyfrę 1 zł za kilowatgodzinę. Cóż z tego, skoro drobny przemysł i rzemiosło nie mogły się rozwijać w danym mieście, opierając się na cenie 50 gr za kilowatgodzinę dla siły. Oczywiście o żadnej reklamie świetlnej mowy być nie mogło. Wysokie bowiem ceny jednostkowe zapewniały samorządowej najczęściej elektrowni tak wielkie zyski, że pokrywały one niekiedy powyżej 30% wydatków całego budżetu zwyczajnego.

Druga domena olbrzymich podatków pośrednich — to rzeźnie miejskie. Rzeźnie, które najczęściej są tylko miejscem uboju, nie posiadają koniecznych urządzeń, a przynosiły niekiedy w okresie rocznym zyski znacznie przewyższające całkowity koszt inwestycyjny.

Obserwowaliśmy takie zjawiska, że taryfa ubojowa w najprymitywniejszych warunkach sanitarnych była wyższa niż koszt samego zwierzęcia. Tego rodzaju prohibicyjne opłaty, które znów utrzymywały budżety miejskie w ca 20%-tach, w niczym nie przyczyniały się do zwiększenia i tak znikomego spożycia mięsa na głowę mieszkańca.

Last but not least — targowice zwierzęce. Ile to przepisów i okólników wydano, żądając by wpływy z targowic służyły wyłącznie na pokrycie kosztów utrzymania targiwicy. Przepisy te w większości wypadków również zostały na papierze. Pomimo wydatnego obniżenia opłat targowiskowych, znaczna ich część jest zużywana na cele budżetowe. Ale dlaczego znów ma ponosić koszta utrzymania samorządu uboga ludność wiejska? Opłaty targowiskowe są szczątkową formą średniowiecznego myta i jako takie powinny być całkowicie zniesione.

W niektórych miastach do liczby powyższych przedsiębiorstw użyteczności publicznej dochodzą jeszcze gazownie i wodociągi.

Jeżeli wyprowadzimy wnioski z powyższego stanu rzeczy, to stwierdzimy, że do utrzymania budżetów samorządowych przyczynia się ludność najbiedniejsza. Jest to objaw ze wszech-miar niezdrowy nie tylko z punktu widzenia słuszności rozkładu ciężarów utrzymania miasta z jego urządzeniami, ale przede wszystkim z uwagi na konieczność postępu w rozwoju cywilizacyjnym. Jak będą wyglądały nasze miasta z najnowocześniejszymi urządzeniami, jeżeli ich obywatele w znacznej części nie będą mogli używać elektryczności do oświetlania, wody do mycia, mięsa do jedzenia.

Inwestycje użyteczności publicznej w miastach powinny powstać kosztem obywateli zamożniejszych, posiadających średnie i większe dochody, po to, aby

przy niskich opłatach obywatele biedni mogli z nich korzystać.

Jeżeli powyższej zasady nie zrealizujemy powszechnie, nigdy miasta nasze nie wyjdą z marazmu, usankcjonowanego stanem godnym miast późnego średniowiecza. Również spełnianie czynności zleconych przez jednostki samorządowe może być wykonywane kosztem sfer zamożniejszych.

Trzeba zrealizować zasadę od wielu już lat przez publikacje oficjalne głoszoną, że instytucje użyteczności publicznej powinny być samowystarczalne, jednak nie przynoszące zysków. A zasadę tę można zrealizować jedynie drogą zastąpienia podatków pośrednich jednolitym sprawiedliwie opracowanym podatkiem bezpośrednim.

w. n.

FINANSE KOMUNALNE

Gospodarka samorządowa nie cieszy się na ogół zrozumieniem i popularnością. Jeśli chodzi o szerszą opinię, jest to zjawisko dosyć zrozumiałe. Gospodarka ta stanowi łatwy teren dla krytycyzmu z tych czy innych przyczyn niewyładowanego w stosunku do gospodarki państwowej. Braki czy błędy tej gospodarki, a więc np. fałszywe inwestycje, lub odwrotnie dotkliwe luki inwestycyjne, dają się obserwować w sposób bezpośredni, są dostrzegalne naocznie. Jeśli chodzi o kwestię dochodów samorządu, to obserwacja skupia się przede wszystkim na tem, co jest dotkliwe dla tej lub innej grupy obywateli (gaz, elektryczność, tramwaje, opłaty targowiskowe itp.), co tem bardziej pogłębia krytyczny stosunek opinii do gospodarki samorządu. Tyle, jeśli chodzi o szerszą opinię. Co ciekawsze jednak, stosunek do spraw samorządowych ze strony kół bardziej kwalifikowanych niewiele odbiega od tego, co mówiliśmy wyżej o stosunku szerokiej opinii. Z chwila, kiedy w odniesieniu do tych kół nie możemy wyjaśnić tego rodzaju nastawienia nieznajomością sprawy czy też partykularyzmem, szukać musimy innej przyczyny. Przyczyną tą jest, jak sądzę brak jednolitej, jasnej doktryny gospodarki somarządowej.

Czy można przywiązywać wage do istnienia takiej doktryny? Sądzę, że tak. Powołać się przy tem mogę na dowód, iż w odniesieniu do finansów państwowych pomimo nieuchronnej walki partykularyzmu o rozkład i zmniejszenie dla danej grupy obciążenia podatkowego, istnieje w gruncie rzeczy zrozumienie nawet tak trudnej do strawienia rzeczy, jak to, że w kraju spóźnionym w rozwoju, a postawionym w trudnych warunkach geo-politycznych, przeciążenie podatkowe jest w gruncie rzeczy nieuchronne.

Finanse komunalne nie są oparte o jednolity, do końca przemyślany system, o zharmonizowany zespół kryteriów i to właśnie sprawia, że są, mogą i muszą być stale atakowane. Nie chodzi tu o problem odpowiedzialności za obecną konstrukcję, która jest wynikiem historycznego narastania wypadków. Wydaje się natomiast konieczne zastanowienie się nad bardziej planowym ujęciem. Nie usiłując wyczerpać tematu nawet w sposób szkicowy, pragnę zwrócić uwagę na trzy kwestie, które w każdym razie posiadają charakter zasadniczy:

1. Podział funkcyj i kosztów pomiędzy państwo a samorząd nie jest oparty o żadne założenia programowe. Nie można np. zrozumieć, dlaczego państwo pokrywa płace nauczycieli, a samorząd koszta mieszkania tychże nauczycieli. Nie tylko nie można zrozumieć, ale rodzić się stąd musi cały szereg anomalij, cały szereg konfliktów. Wyobraźmy sobie np., że państwo zwiększa ilość nauczycieli w skrajnie ubogiej gminie. To dobrodziejstwo będzie ciosem dla budżetu tej gminy, a przecież nie sposób normować liczbę nauczycieli według możliwości finansowych gminy w czasach, kiedy wszyscy stoimy na stanowisku, że zaspokojenie potrzeb oświatowych nie może zależeć od stopnia zamożności danej grupy obywateli. Wielkie zagadnienie z tego samego zakresu stanowi kwestia czynności zleconych przez państwo samorządowi, które najczęściej są dla samorządu obciążeniem, nie znajdującym przeciwwagi w odpłacie za wykonywanie czynności zleconych.

2. Zasada samowystarczalności finansowej samorządu miała za swój cel zapewnienie niezależności samorządowi. Zasada ta ma jednak o tyle sens, o ile samorząd sam w ramach samowystarczalności może określać rozmiar swych funkcyj. Wtedy kiedy bądź przepis ustawy, bądź stan świadomości społecznej narzuca samorządowi pewne funkcje w sposób kategoryczny, nie licząc się z jego budżetem, koncepcja samowystarczalności finansowej samorządu jest fikcją. Anomalie z tej dziedziny występują najjaskrawiej, jeśli porównamy sytuację samorządów poszczególnych okręgów kraju. Warszawa np. jako stolica kraju posiada zadania i wydatki bynajmniej nie rodzące się z jej potrzeb jako miasta, lecz wynikające z jej zadań w ramach organizmu państwowego. Czy można tu stosować zasadę samowystarczalności? Czy można wymagać samowystarczalności od ubogich gmin na Kresach Wschodnich jeśli się przyjmie założenie, że stopa życia państwa wymaga pewnego poziomu organizacji rządowej zawsze i wszędzie? Zasada samowystarczalności finansowej samorządu powinna być zastąpiona nową, bardziej złożoną, uwzględniającą fakt stawiania w ogólnym trzonie zadań, przekraczających ich siły.

3. Rozkład ciężaru utrzymania samorządu nie może być oparty o system nieuzgodniony, czy nawet sprzeczny z rozkładem ciężaru podatkowego na rzecz państwa. Za szczególnie jaskrawe odstępstwa od tej zasady musi się uważać np. podatek wyrównawczy, wymierzany bez tej degresji i progresji, jaką stosuje się w państwowym podatku gruntowym. Innym przykładem są opłaty za świadczenia komunalne, posiadające niejednokrotnie charakter podatków pośrednich. Jeśli bowiem opinia może się pogodzić z podatkiem pośrednim, pobieranym w jednakowej mierze na całym terenie państwa, to nie jest możliwym zrozumienie i pogodzenie się z takim stanem rzeczy, w którym podatek w postaci dajmy na to wygórowanej ceny prądu elektrycznego będzie różny w mieście *X* i w mieście *Y*.

c. k.

JEST O CO WALCZYĆ

Zagadnieniu finansów komunalnych poświęca się stanowczo zbyt mało uwagi. Trzeba dopiero takiego krótkiego spięcia, jakim był odrzucony projekt zmian w ustawie o tymczasowym (!) uregulowaniu finansów komunalnych, żeby kwestia gospodarki samorządowej przypomniała się opinii publicznej.

Nie w zamiarze wyczerpania tematu, lecz w celu podkreślenia kilku okoliczności, towarzyszących poruszonemu zagadnieniu, pragnę podać nieco liczb i omówień. Przede wszystkim więc chciał bym przypomnieć, że globalne wydatki samorządu terytorialnego w r. 1934/35 (ostatnim, szczegółowo opracowanym przez G. U. S.) wyniosły 666, dochody zaś 680 mil. zł. Nadwyżkę 14 mil. zł uzyskały samorządy dzięki pożyczkom w sumie — 64 mil. zł, aczkolwiek trzeba przyznać, że jednocześnie spłaciły 92 mil. zł zaciągniętych poprzednio długów (kapitał i odsetki).

Jeśli by nie liczyć zaciągniętych zobowiązań, dochody samorządu terytorialnego wyniosły by 602 mil. zł, z czego majątek samorządowy przyniósł 39, przedsiębiorstwa 72, dotacje państwowe 39, opłaty za korzystanie z urządzeń i zakładów dobra publicznego 56, daniny komunalne (samoistne i w formie dodatków do danin państwowych) 329 mil. zł etc. Szczególne zainteresowanie wzbudza tutaj pozycja 72 mil. zł wpłat przedsiębiorstw komunalnych, którą należało by pomniejszyć o 26 mil. zł, wydatkowanych na te przedsiębiorstwa. Innymi słowy czysty zysk samorządu z przedsiębiorstw wyniósł 46 mil. zł. Ale pointa tego zagadnienia tkwi gdzie indziej.

Opracowane szczegółowiej dane dla 1.295 przedsiębiorstw miejskich wykazują, że z dochodów w sumie 172 mil. zł przedsiębiorstwa te wydatkowały: z tytułu kosztów produkcji 58 mil., na koszty utrzymania urządzeń 25 mil., na koszty administracji 23 mil., na odpisy (amortyzacja, fundusze renowacyjne itp.) 9 mil. i na inne cele 15 mil. zł oraz — i to jest najważniejsze — 41 mil. zł w formie przelewu zysków do budżetu administracyjnego miast. A zatem blisko ¼ dochodu brutto przedsiębiorstw służy nie im samym ani konsumentom, lecz budżetowi wegetacyjno-administracyjnemu gminy. O tyle więc można by zwiększyć zasięg i sprawność przedsiębiorstw lub potanić ich usługi. Dla ścisłości stwierdzam, że w razie zaniechania przelewu zysków przedsiębiorstw do kas miejskich i nie powiększania wydatków na same przedsiębiorstwa, ceny usług można by obniżyć: w elektrowniach o 30%, w wodociągach i kanalizacji o 22%, w rzeźniach o 32% i w targowiskach o 44% (przykłady najbardziej jaskrawe). Redukcja obciążenia targowego niemal o połowę zwiększyła by obrót na targowiskach, redukcja opłat rzeźnianych o ⅓ zadała by cios ubojowi potajemnemu, redukcja taryfy elektrycznej (niesłychanie wygórowanej) o ⅓ wprowadziła by światło pod strzechy, a redukcja o ⅕ opłat za używanie wody podniosła by sanitarny poziom naszych miast. Jest więc o co walczyć. Walczyć w interesie miast i ludności miejskiej przeciwko budżetowi administracyjnemu samorządu.

k. b.

PRAWDZIWY WINOWAJCA

„Etatyzm i inicjatywa prywatna". Oto tytuł, jakim redakcja „Codziennej Gazet Handlowej" (Nr 125 z dnia 5 czerwca b. r.) zaopatrzyła przedrukowany odczyt p. Stanisława Wachowiaka, wygłoszony z okazji dorocznego zgromadzenia „Lewiatana" na temat t. zw. inicjatywy prywatnej.

Ale istnieje jeszcze i podtytuł, który brzmi: „Dwa obozy, które stanęły do śmiertelnej walki".

Obozy etatyzmu i inicjatywy prywatnej. Rzecz nie nowa, jak starą jest sama walka. Nowym jest tylko przymiotnik: „śmiertelna".

Czy zaszło istotnie coś takiego, co by kazało przypuszczać, że lada chwila inicjatywa prywatna rozpocznie śmiertelny czyli ostateczny bój z etatyzmem? Czy istotnie lada dzień nastąpi upragniony rewanż pognębionej inicjatywy nad tępą biurokracją etatyzmu? Czy też, odwrotnie biorąc, pełne, stu procentowe zwycięstwo etatyzmu stoi tuż, tuż pod drzwiami?...

Nie wchodząc za kulisy wystąpienia Centralnego Związku, możemy oświadczyć krótko: na froncie etatystycznym bez zmian! Nie dzieje się tam nic takiego, co by kazało mniemać, że polityka gospodarcza wykręciła o tyle a tyle stopni. W dalszym ciągu obowiązuje metoda doraźnych, przypadkowych posunięć, gdzie akcja szumnie zwana etatyzmem, jest skutkiem pewnych zjawisk, a nie ich przyczyną.

Zło etatystyczne nie leżało i nadal nie leży w tem, czy mamy w Polsce 1.907 (?) przedsiębiorstw państwowych, czy też liczba ta jest inna, lecz w tem, że nasz etatyzm jest bezplanowy. Bo przecież nie dlatego do państwowego worka przedsiębiorstw przemysłowych wpadły „Huta Pokój" i „Wspólnota Interesów", że tego świadomie żądało Państwo, lecz z prostego a niezawinionego (przez Państwo) powodu: wymienione przedsiębiorstwa zostały doprowadzone do ruiny polityką ich prywatnych dysponentów, opartych o kapitał zagraniczny...

Dyr. Wachowiak wspomniał m. in. o konsekwencji, z jaką wykonywa się program etatystyczny. Programu takiego nie ma, programu takiego „czynniki miarodajne" wstydzą się i znać go nie chcą. Istnieje natomiast co innego: przekonanie „czynników miarodajnych", że każde wielkie przedsiębiorstwo wymaga ratunku za wszelką cenę. A ceną tą jest kredyt państwowy, gwarancja państwa i — etatyzacja.

U podłoża „etatyzmu z konieczności" leży wszystko, tylko nie planowość działania. Znajdziemy tam wspomniany przed chwilą „samarytanizm gospodarczy", urojone czy rzeczywiste względy na obronę kraju, urojone czy rzeczywiste motywy socjalne i wiele innych podobnych momentów. Ale wszystkie ona, razem wzięte, muszą mieć i mają podłoże natury psychicznej.

Dyr. Wachowiak wspomina i o tej dziedzinie, tylko że nie trafia w sedno rzeczy. Jego zdaniem, przyczyną etatyzmu jest m. in. zjawisko, że w Polsce nie ma inicjatywy prywatnej, albo jeszcze lepiej, że „pogarda dla przemysłu i handlu w praktyce jest taka sama jak ongiś" (t. zn. w Polsce staroszlacheckiej). Dowo-

dzenie to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością; owa „pogarda“ nie istnieje, jak nie egzystuje polityka „uprawiana konsekwentnie“ zabijania inicjatywy prywatnej. Dyr. Wachowiak nie przytoczył żadnego przykładu na poparcie swego niesłusznego stanowiska, mógł zaś wiedzieć z doświadczenia, iż w przedsiębiorstwach państwowych duch inicjatywy prywatnej jest tak wielki, że aż budzi nieraz obawę, czy aby komercjalizacja tych przedsiębiorstw nie poszła czasami za daleko. Jeżeli zaś dyr. W., mówiąc, iż „dzisiejszy system biurokratyczny tak, jak ongiś szlachta, uniemożliwia rozwój przemysłu i handlu“, miał na myśli fiskalizm polski, to żałować tylko należy, iż w oczach kierownika „Robura“ nie znalazła uznania stosowana od lat kilku konsekwentna polityka, zmierzająca do ukrócenia nadużyć (a raczej niedociągnięć) aparatu skarbowego. Bo o wysokości budżetu Państwa i o przyczynach takiego a nie innego „minimum egzystencji“ wydatków państwowych dyr. Wachowiak wie, jako były wojewoda, lepiej od niżej podpisanego.

Moralne podłoże etatyzmu tkwi w tem, co dyr. W. starannie przemilczał. Tkwi ono w psychice polskiego „homo oeconomicus“, zwłaszcza tej jego kategorii, którą zalicza się do grupy późno - kapitalistycznej. Przedsiębiorca, który eliminuje konkurencję, chowa się pod skrzydła prohibicyjnej taryfy celnej i kartelowego rejonowania rynku, niechętnie rozszerza swój zbyt, traktuje swoje przedsiębiorstwo jako trwałą a lukratywną (bez względu na rentowność przedsiębiorstwa) posadę — czyli, krótko mówiąc, przedsiębiorca, przekształcony w rentiera, nie może i nie ma prawa mieć pretensji do państwa o etatyzm. Ten ostatni, nawet w swej bezplanowej postaci, jest nieuniknioną reakcją na kwietyzm klasycznego przedsiębiorcy. Zrozumiałe jest jeszcze, kiedy mały lub średni przemysłowiec protestuje przeciwko wojskowej wytwórni kawy zbożowej, warsztatom więziennym itp., bo za fałszywą dyspozycję gospodarczą etatyzmu zapłaci on swoją własną skórą. Ale wielki kapitał akcyjny, który protestuje przeciwko małym Brzeszczom, liniom okrętowym, Polskiemu Radio, fabrykom nawozów sztucznych lub Zjednoczonemu Bankowi Ziemiańskiemu [1]), zapomina, że on na etatyzmie nic nie traci, a upadłości się nie boi, gdyż w każdej chwili uzyska kredyty, gwarancje lub... upaństwowienie i to bez żadnej dla swych przedstawicieli krzywdy.

Na dnie doraźnych „koncepcyj“ etatystycznych leży najczęściej zła wola, nieudolność, bezsilność, nieobecność lub „światopogląd emerytalny“ kierowników koncernów, karteli i wielkich przedsiębiorstw. W tych warunkach frazes o „walce śmiertelnej“ inicjatywy prywatnej z etatyzmem jest tylko pustym dźwiękiem. Nie może być inaczej, skoro największym wysiłkiem tej „inicjatywy“ jest zahamować rozwój inicjatywy prywatnej bez cudzysłowu, a reprezentującej przemysł mały i średni, przemysł przetwórczy, przeważnie krajowy. Polityka cen, rabatów, przydziałów i warunków specjalnych, stosowana przez „wielkich“ wobec „maluczkich“, jest — czy to chodzi o węgiel, czy o żelazo — stokroć gorsza od istnienia przedsiębiorstw skomercjalizowanych i niewydzielanych oraz monopoli.

Taktyka obozu kartelowej „inicjatywy prywatnej“ polega na atakowaniu tych i owych przedsiębiorstw państwowych i to raczej płotek, aniżeli karpi, do jakich wypadło by zaliczyć wytwórnie wojskowe, lasy państwowe i P. K. P. Atak ten służy do zamaskowania działalności karteli na rynku wewnętrznym, przy czem im dany kartel ma bardziej wadliwą i szkodliwą budowę, tem głośniej wymyśla na etatyzm. Ostatecznie, wygodnie jest znaleźć obcego winowajcę tego stanu rzeczy, że istotnie rozwój naszego przemysłu i handlu nie nadąża za tempem rozwoju życia gospodarczego na Wschodzie i Zachodzie.

j. gozd.

W ODPOWIEDZI

W zwięzłych uwagach nad sprawozdaniem z działalności Funduszu Pracy, wydrukowanych w nr. 10 „Gospodarki Narodowej", wyraziliśmy przekonanie, że zakres i wyniki tej działalności pozostają w rażącej dysproporcji z treścią przemówień wygłaszanych w sprawach tej instytucji z trybuny sejmowej w prasie codziennej. W następnym numerze p. „s. l." usiłuje nam dowieść, że nie umieliśmy odczytać sprawozdania i wynikłą stąd błędną interpretacją popełniliśmy niesprawiedliwość względem Funduszu Pracy, ba, przeciwstawiliśmy się rozwojowi polskiej polityki społecznej. Tak ciężki zarzut każe nam — ku utrapieniu szanownej redakcji i czytelników — wrócić raz jeszcze (nieodwołalnie ostatni) do naszych twierdzeń, które nie są ani błędne, ani lekkomyślne dla każdego, kto umie czytać po polsku, a nie wie nic o intencjach autora czy autorów.

1. Szanowny oponent karci nas, że wzięliśmy pod uwagę 87 milionów, które wydał na roboty Fundusz Pracy, nie zaś 183 miliony wydatkowane ogółem przez kredytobiorców Funduszu.

Przyznajemy, że w naszych uwagach zajmowaliśmy się tylko i wyłącznie Funduszem Pracy, nie zaś całokształtem lub inną jakąś częścią robót inwestycyjnych w Polsce. Co więcej, naszym skromnym zdaniem, sprawozdanie Funduszu Pracy powinno dawać jasną, niczym postronnym niezaciemnioną analizę tego, co uczyniono za jego własne pieniądze. Oczywiście ani 87 ani 183 milionów wydatkowanych corocznie w ciągu paru lat nie może przebudować struktury gospodarczej lub chociażby trwale likwidować bezrobocie, jak to o sobie Fundusz Pracy twierdzi.

2. Stosunek wydatków na materiały i robociznę, który nam się wydał niezgodny z założeniami istnienia Fuduszu Pracy, powtórzyliśmy ściśle ze wstępu do omawianego sprawozdania (str. 32), nie wdając się w zawiłe wyliczenie, jak to czyni p. „s. l.". Kto z nas dwóch ma słuszność — mógłby rozstrzygnąć tylko sam Fundusz Pracy, podając szczegółowo właściwy, na właściwym obliczeniu oparty podział swoich (tylko swoich) wydatków na robociznę i materiały zużyte przy nakładzie tej robocizny.

---

[1]) Banku tego nie etatyzowano by, gdyby go nie położyła — w ślad za Bankiem Ziemiańskim (zwykłym) — ta sama „inicjatywa prywatna“ w dyrekcji instytucji, mocno kosztownej dla Skarbu Państwa.

3. Celem określenia średniego zarobku robotników zatrudnionych przez Fundusz Pracy p. „s. l.” bierze dane z tablicy 16 i 32, my zaś wzięliśmy cyfry z tabl. 5 i 18 —różnica stąd wynikła wynosi 100%. Pogódźmy się, stwierdzając zgodnie, że licha warte sprawozdanie, w którym każda stronica przeczy poprzedniej, i że najlepiej było by, gdyby w obszernym wstępie do tablic cyfrowych, jeżeli nie w jednej z tablic, wyprowadzono przejrzyście tak ważną życiowo i teoretycznie cyferkę, jaką jest średni zarobek na robotach publicznych.

4. Obawiamy się, że p. „s. l.” nie przypadnie do gustu pokojowe załatwienie sprawy. Oskarża nas bowiem o złą wolę. Czyż jednak naprawdę nie dostrzegliśmy wszystkich ważnych zadań poruczonych Funduszowi Pracy, skoro cały długi końcowy ustęp naszej krótkiej uwagi poświęciliśmy ich wyliczeniu? „Zasiłki ustawowe”, jak skromnie nazywa nasz szanowny oponent zabezpieczenie na wypadek bezrobocia, pominęliśmy celowo, nie jest to bowiem pomoc dla bezrobotnych ze źródeł publicznych. Ostatecznie gotowiśmy pójść na ujęcie wręcz inne, jeżeli wyjdziemy z tego najzupełniej zresztą racjonalnego punktu widzenia, że wszystkie działy Funduszu Pracy oparte są w przeważnej mierze na wkładach pracowniczych, jak to potwierdziła nawet praktyka pomocy zimowej.

Franciszek Karpiński.

STANISŁAW ORLIKOWSKI

AKORDY KREDYTOWE I ROLNICZE

W odpowiedzi na artykuł p. Witolda Ptaszyńskiego p. t. „Dysonanse kredytowe i rolnicze”. (Gosp. Nar. Nr. 11/1937).

Każdy autor stawiając jakąś tezę woli dyskusję od przemilczenia, gdyż pragnie widzieć w tem dowód, że teza choćby tylko ze względów negatywnych zasługuje na uwagę. Dlatego też wdzięczny jestem p. Ptaszyńskiemu za podjęcie dyskusji nad zagadnieniami, które poruszyłem w numerze 9/27 Gospodarki Narodowej w artykule p. t. „Totalizm kredytowy a rolnictwo”.

Wydaje mi się że każda dyskusja rzetelnie i celowo prowadzona ma na celu przekonanie przeciwnika o słuszności swego twierdzenia. Jest to jednak cel drugorzędny, raczej indywidualny dysputantów. Jedynym natomiast i jedynie wartościowym owocem polemiki jest wyświetlenie zagadnienia, jego pogłębienie i zbliżenie się do prawdy obiektywnej. Wobec tego staje się rzeczą drugorzędną *kto* i *jak* pisze, a główne i jedynie istotne jest *co* pisze. Podstawowym więc obowiązkiem jest dążyć do zrozumienia co przeciwnik chciał powiedzieć. W przeciwnym razie polemika toczy się „od sasa do lasa” — ten o jednym, tamten o drugim, — i zdarza się wówczas, że nietylko nie osiąga się celu, ale w ogóle dyskusja istnieje jedynie pozornie.

Obowiązkiem piszącego natomiast jest tak napisać, aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie myśli przewodniej. Jeśliby artykuł mój: „Totalizm kredytowy a rolnictwo” miał być tak przez innych czytelników zrozumiany, jak przez autora artykułu „Dysonanse kredytowe i rolnicze”, to musiałbym na pytanie: „jak napisałem?” — odpowiedzieć: „źle”. Nie mógłbym natomiast na podstawie tej dyskusji, która ma miejsce dotychczas, dojść do wniosku, że to co napisałem jest błędne.

Jeżeli ponoszę winę niezrozumienia mego artykułu przez czytelnika, to sądzę, że przyczyna tego leży w użyciu terminu „totalizm kredytowy”. Wolno mi go było użyć w dowolnym rozumieniu, gdyż nie ma on utartego znaczenia w zakresie ekonomiki kredytowej. Dla wyprostowania dyskusji pragnę podkreślić, że w treści mego artykułu wystąpiłem głównie przeciw „drenażowi” środków pieniężnych niesztywnego rynku kredytowego, co zdaniem moim, jest ujemnym zjawiskiem towarzyszącym centralnej dyspozycji w systemie, który nazwałem „totalizmem kredytowym”. Uważając bowiem dyspozycję centralną za narzędzie raczej wyjątkowe, chcę ograniczyć jej działanie do rynku sztywnego. Dałem temu wyraz w następującej konkluzji mego artykułu: „Dyspozycja centralna gromadzonych kapitałów ograniczałaby się do rynku sztywnego, który jedynie może być podstawą odbudowy kredytu długoterminowego i niekredytowych inwestycyj gospodarczych”.

Polemika dość obszerna, bo objętościowo przekraczająca artykuł, nie zaczepiła tych postulatów, a nawet wprowadziła argumenty uzasadniające.

Przechodząc do dyskusji ograniczę się do omówienia tych tez poruszonych przez mego oponenta, które uważam za zasadnicze.

Głównym argumentem za utrzymaniem centralnej dyspozycji kredytowej, w imię korzyści rolnictwa, miałaby być mała jego zdolność kapitalizacyjna. Wobec tego konieczne jest doprowadzenie kredytów do rolnictwa z nierolniczych źródeł kapitalizacji. Zdaniem moim, *kredyt jest to antycypowanie przyszłej możliwości kapitalizacyjnej*. Zdolność kredytowa musi być więc równa zdolności kapitalizacyjnej w chwili spłaty kredytu. Jeżeli więc przyjęlibyśmy *strukturalną* niezdolność kapitalizacyjną rolnictwa, to musielibyśmy w konsekwencji uznać brak jego zdolności kredytowej. Pozostają zatem dwie możliwości. Albo autor „Dysonansów” widzi możliwości akcji kredytowej ponad zdolność kredytową pożyczkobiorcy, albo, uzasadniając swoje twierdzenie znikomą kapitalizacją w rolnictwie, kierował się obserwacją zjawiska koniunkturalnego. Przyznaję, że w moich rozważaniach o organizacji kredytu nie brałem zupełnie pod uwagę możliwości udzielania w formie kredytu środków pieniężnych ponad zdolność kredytową, gdyż nie wchodzi to w zakres polityki kredytowej. Powszechnie są znane i nie wymagają uzasadnienia ujemne skutki, niestety stosowanego już u nas dawniej, dumpingu kredytowego.

Ocenianie natomiast zdolności kapitalizacyjnej rolnictwa na podstawie obecnego stanu wkładów, stanowiącego chwilowy wynik kryzysu rolnego, również nie jest właściwe, a w skutkach doprowadzić może do błędnych wniosków.

Jakkolwiek całkowicie przyznaję, że obecna zdol-

ność kapitalizacyjna rolnictwa jest mała, nie uważam tego jednak za zjawisko trwałe, przeciwnie — widzę w rolnictwie poważne siły potencjalne do zużycia w kierunku kapitalizacji. Dlatego też w rozważaniach moich nad organizacją rynku kredytowego rolnego starałem się świadomie oderwać od sugestii zjawisk koniunkturalnych. Kierowałem się natomiast obserwacją faktów utrwalonych w historii kredytu rolnego, jak poważne dorobki powstałe jako dowód kapitalizacji rolniczej w postaci rozwoju kredytu długoterminowego rolnego, rolniczych banków prywatnych i spółdzielczości rolniczej. Historia finansów rolnych daje nam dowód jak wielkie w tym zakresie istnieją możliwości, a utrwalające się zjawisko podnoszenia się produkcji rolnej przy równoczesnym uwzględnieniu niestety niskiego standard of life szerokich mas rolniczych pozwala nam sądzić, że możliwości te będą wzrastały w miarę podnoszenia się kultury rolnej.

Nawiasowo należy nadmienić, że słaby obecnie stan kapitalizacji rolniczej częściowo spowodowany jest centralistycznym systemem organizacji aparatu zbiorczego i formami kapitalizacji niedostosowanemi do terytorialnego rozsiania rolnictwa, a raczej sprzyjającemi kapitalizacji większych skupisk miejskich.

Autor wyczerpująco wywodzi stosunek procentowy kredytów rolniczych do nierolniczych, a broniąc obecnego stanu rzeczy, sądzi on prawdopodobnie, że wypada on na korzyść rolnictwa. Zasługę tego jakoby pomyślnego stanu rzeczy przypisuje totalizmowi kredytowemu. Pomijam czy stosunek ten (42 i 43% kredytów rolniczych w bankach państwowych, komunalnych i Banku Polskim według danych 1933 r.), w zakresie kredytu *krótkoterminowego* jest właściwy jako wynik planowej polityki kredytowej. Zdania na ten temat są podzielone, a poruszenie tego tematu wymaga specjalnego omówienia. Pomijam również istotne w tym wypadku zagadnienie, jaki procent kredytów rolniczych znajduje się w stanie zamrożenia. Nie sądzę natomiast aby ten stan rzeczy był wynikiem centralnej dyspozycji kredytowej. Należy to raczej przypisać ciężarowi gatunkowemu, który rolnictwo posiada w ogólnym życiu gospodarczym kraju o strukturze rolniczo-przemysłowej z wyraźną przewagą rolnictwa; wpływowi ilościowego stosunku popytu na kredyt rolników i nierolników, ilościowej przewadze rolników jako nabywców, rolniczemu nastawieniu większości naszego przemysłu i handlu. Nie bez wpływu na ten stosunek pozostaje okoliczność, że rolnictwo w odróżnieniu od handlu i przemysłu korzysta w większym stopniu, a w zakresie kredytu krótkoterminowego prawie wyłącznie z rynku pieniężnego wewnętrznego. Wreszcie ilościowemu stosunkowi instytucyj kredytowych rolniczych do nierolniczych.

Udostępnienie dla rolnictwa nawet takiego udziału w kredytach krótkoterminowych, przy równoczesnym zachowaniu znikomego jak wykazałem w artykule jego udziału w przyroście kredytu wysokowartościowego, jakim jest kredyt długoteminowy, (29,3%) stanowi dowód, że dotychczasowego stanu rzeczy nie można uznać za korzystny dla rolnictwa.

W związku z zaatakowanym postulatem usamodzielnienia organizacji kredytowej rolnej, zwrócić należy jeszcze uwagę na poważny przyczynek doświadczalny, jaki daje nam niemiecka teoria i praktyka, która powszechnie uważana jest jako cenny dorobek w tym zakresie. Stoi ona na stanowisku uniezależnienia kredytu rolnego od fluktuacji rynku pieniężnego. Osiąga to przez oparcie kredytu rolnego o kapitały własne aparatu kredytowego rolnego oraz pomoc państwową, unikając refinansowania się gdzie indziej, nawet w instytucji emisyjnej. W ten sposób usuwano z kredytu rolnego zmiany wynikające z wstrząsów rynku pieniężnego, jak np. zmiana stopy procentowej, warunków spłaty kredytu, a dostosowywano się do elementarnego wymogu, wynikającego z okoliczności, że kapitał zaangażowany w produkcji rolnej nie może być wycofany nawet ze stratą, jak w handlu lub przemyśle, przed ukończeniem okresu produkcji.

Zgodnie z tem co pisałem uprzednio, głównych korzyści dyspozycji centralnej, może nawet jedynego jej usprawiedliwienia, szukać należy w działaniu skierowanym ku przesuwaniu środków kapitalizacyjnych rynku sztywnego na poszczególne dziedziny życia gospodarczego w postaci kredytu długoterminowego. Wyniki jednakże osiągnięte w tym zakresie przez rolnictwo uważam za ujemne. Rolnictwo zostało upośledzone w udziale jaki mu przyznano w skromnym zresztą dorobku rozwoju kredytu długoterminowego.

Pozostaje do rozważenia, czy konieczne jest utrzymanie centralnej dyspozycji kredytowej w celu doprowadzania kapitałów z innych dziedzin gospodarczych do rolnictwa, poza organizacją rynku sztywnego. Sądzę, że kapitał jest tym najczulszym czynnikiem życia gospodarczego, który najszybciej reaguje w zakresie automatycznego działania. Jeżeli podniesie się zdolność kredytową rolnictwa, a równocześnie przestrzegane będą ogólno gospodarcze i prawne środki, niezbędne dla zapewnienia zabezpieczenia kredytu, to napływ nierolniczych kapitałów prywatnych do rolnictwa mógłby się stać zjawiskiem trwałym bez udziału dyspozycji centralnej. W rozważaniach moich wystąpiłem przeciw „drenowaniu" wkładów rolniczych, nawet w tym wypadku jeśliby miały one być zużywane na kredyty rolnicze. Mocno podkreślona w „Dysonansach" mała zdolność kapitalizacyjna rolnictwa zdaje się tem bardziej potwierdzać słuszność zasady nieuszczuplania jego środków własnych. Daleki byłem i jestem od niedoceniania potrzeby doprowadzania obecnie do rolnictwa nowych kredytów ponad własne środki kapitalizacyjne rolnictwa. Uważam to za wskazane i możliwe, gdyż oceniam pozytywnie zdolność kredytową rolnictwa. W obecnych naszych stosunkach uznać to nawet należy za konieczne ze względu na specjalne potrzeby związane z przebudową ustroju rolnego np. kredyty na kupno gruntu, działy rodzinne, melioracje rolne. Sądzę natomiast, że powinno się to dokonywać ze środków rynku sztywnego, a ściślej mówiąc, środków dostarczanych dyspozycji centralnej przez aparat kapitalizacyjny zbiorczy, jak instytucje ubezpieczeniowe i oszczędnościowe, bez drenażu wkładów w instytucjach kredytowych. Właściwy organizm kredytowy wyłączony z pod wpływu dyspozycji centralnej w zakresie wysysania jego środków własnych, a używany jedynie jako aparat rozdzielczy, mógłby w większym niż dzisiaj stopniu przyczyniać się do postępu kapitalizacji i odbudowy rynku kredytowego.

Takie sformułowanie założeń w zakresie „totalizmu kredytowego" zdaje mi się wskazywać celowość prowadzonej dyskusji. Pragnąłbym traktować to sformułowanie jako wspólny z moim oponentem dorobek rozważań.

NOTATKI

OBOWIĄZEK CZY SUMIENIE

Tak się jakoś w Polsce układa, że apelowanie do serca, sumienia i kieszeni obywateli weszło w nałóg i przyzwyczajenie. Pomijając fakty mniejszego znaczenia i zostawiając na boku dwie ostatnie pożyczki wewnętrzne, stwierdzić należy, iż ofiarność publiczna eksploatowana jest u nas dość często i — wydatnie. Pomoc ofiarom powodzi 1934 r. przyniosła 21 mil. zł., pomoc zimowa 1936/37 r. — 33 mil. zł. Crescendo...

Odwoływanie się do obywateli o środki na cele nadzwyczajne i mniej lub więcej nieprzewidziane ma to do siebie, że jest *jednorazowe*. Powódź przyszła dosłownie z nieba. Trudniej, co prawda, wytłumaczyć pomoc zimową dla bezrobotnych, skoro bezrobocie trwa tak długo. Lepiej mówić o „dziewiczości" zagadnienia: w Polsce do r. 1936 nikomu nie przyszło do głowy przekarmić setki tysięcy bezrobotnych, względnie — przekarmić je w skali większej, aniżeli na to pozwalały środki Funduszu Pracy, przeznaczonego w zasadzie na produktywne zatrudnienie bezrobotnych. Przed paroma laty istniał wprawdzie Fundusz Pomocy Bezrobotnym o zupełnie wyraźnym celu (przekarmienie i odzianie), skonstruowany analogicznie do Funduszu Pracy (jako że ten ostatni jest tylko dalszym ciągiem pierwszego), ale nie sądzone mu było żyć i działać zbyt długo.

Otóż to właśnie: pomoc zimowa r. 1936/37 nie była de facto żadną nowością. Już w r. 1932/33 czyniono to samo, opierając tę akcję na *ustawowych* świadczeniach odpowiednich grup obywateli. Okazało się jednak, że na akcję Funduszu Pracy w roku 1936/37 nie starczy pieniędzy i zaapelowano do ofiarności publicznej. Motyw więc ostatniego apelu był i ten sam, co dawniej, i zgoła inny.

Sprawa zaostrza się, gdyż prasa przebąkuje o nowej pomocy zimowej, opartej *ponownie* o filantropię i ofiarność społeczeństwa. Motywu, uzasadniającego podobny apel, brakuje zupełnie. Szturm do serc i sumień, jednorazowo nader skuteczny (wpłynęły 33 mil. zł zamiast preliminowanych 20), nie może i nie powinien przechodzić w *stałą* manierę. Nie działa to wychowawczo, gdy co roku łechce się uczucia obywateli, bo w ten sposób stępia się wrażliwość na skutki wypadków siły wyższej. Trzeba sobie zresztą powiedzieć po męsku, że pomoc bezrobotnym nikogo nie hańbi, że wobec niemożności usunięcia lub radykalnego zmniejszenia bezrobocia rok rocznie czeka nas ten sam wysiłek i że dobrą wolę, entuzjazm i szczodrobliwość ochotniczą społeczeństwa należy zachować dla spraw, które wymagają *nadzwyczajnych* wysiłków. „Osobny rozdział" zagadnienia stanowi fakt, że do stałej eksploatacji kieszeni obywatela powołany jest jedynie skarb państwa lub samorząd terytorialny, a nie najbardziej nawet czcigodni panowie z komitetów obywatelskich.

Pomoc zimowa — proszę bardzo. Wysiłek to nie taki straszny, skoro się zważy, iż w ciągu jednego roku obrót totalizatora warszawskiego wynosi ok. 35 mil. zł. Ale droga do pomocy zimowej prowadzi nie przez „sumienie" i komitety obywatelskie, lecz przez *obowiązek* ustawowy oraz sejm i rząd.

k. b.

URZĘDOWANIE

Istnieje jedna kategoria urzędów w Polsce, która cierpi wskutek niedorzeczności ustawodastwa więcej, aniżeli obywatel. Są to urzędy skarbowe.

Do długiej litanii anekdotek, dotyczących bezmyślności biurokratyzmu pozwolę sobie dołożyć perełkę:

Urząd Skarbowy w Warszawie wezwał lokatora garażu do złożenia listy szczegółowej osób, zamieszkałych w garażu, wraz z podaniem źródła utrzymania. Uczynił to jednak (jakieś fatum prześladuje tak inteligentnie pracujące Urzędy Skarbowe) dopiero w maju i dopiero po wyjeździe lokatora na dłuższy pobyt zagranicę. Prawdopodobnie w grudniu, to jest w terminie składania „Listy szczegółowej..." etc. administracja domu przedstawiła spis lokali mieszkalnych, a więc wtedy nie można było występować z pretensją o niespełnienie obowiązków, ani grozić grzywną zł 500.

A może ja źle rozumuję? Może w garażu są karaluchy, szczury? Kto wie, czy „Lista szczegółowa..." nie ma innych zadań statystyczno - administracyjno - policyjnych poza spisem osób zobowiązanych do składania zeznań o dochodzie.

Ciekawe jednak, że inne Urzędy Skarbowe nie żądały ani odemnie, ani od moich znajomych „Listy szczegółowej..." dla garaży. Innym wystarczają lokale mieszkalne. Może mają mniejszy impet w urzędowaniu, a może więcej... poczucia humoru.

s. m.

Z ARMATĄ NA... WRÓBLA

Ostatnio sporo popłochu w sferach zainteresowanych narobiły uchwały Komisji Kontroli Cen m. in. w sprawie obniżki cen mydła. O ile zdołaliśmy się zorientować przyczyną omawianego zjawiska było zmobilizowanie szeregu różnorodnych środków dla przeprowadzenia wspomnianej operacji. Była więc mowa o: „zadekretowaniu" obniżki cen olejów kokosowego i lnianego, używanych w mieszance do produkcji mydła, zniesieniu opłat pobieranych przy przerobie egzotyków (bardziej rentownych dla olejarni) na rzecz przerobu krajowych surowców oleistych jako rekompensaty za obniżkę ceny olejów egzotycznych — imporcie pewnych ilości najtańszych surowców tłuszczowych do produkcji mydła (tranów), zniesieniu obowiązku domieszki oleju lnianego do tłuszczowej osnowy mydła i obniżeniu cła na kalafonię. Z czasem okazało się, że istotnie Rząd zmierzając do obniżki cen mydła zniżył ceny stałych olejów egzotycznych i tej części oleju lnianego, która jest używana jako domieszka, zezwolił na przywóz partii tranów i zniósł opłaty na fundusz wyrównawczy. O reszcie środków narazie cicho. Tymczasem podniosły się gromkie wołania np. o to że:

1) zamierzenie zwolnienia mydlarni z obowiązku zakupu tłuszczów krajowych sprzeczne jest z uchwałami, powziętymi przez Komisję Surowcowo-Tłuszczową w M. R. i R. R.

2) godzą w zasady preferencji.

3) godzą w interesy nietylko przemysłu olejarskiego, lecz przede wszystkim w interesy rolników, producentów lnu i siemienia lnianego. (Przegląd Lniarski Zesz. 2).

Zapomina się o tem, że Rząd musi *godzić sprzeczne interesy* dla dobra ogólnego, przez co nieraz jego zarządzenia „godzą" w *poszczególne interesy*.

Pragnęlibyśmy wyciągnąć z opisanego wyżej fragmentu życia gospodarczego ogólniejsze uwagi i wskazania na przyszłość. Wydaje się nam iż i tym razem — jak nieraz — musimy odpowiedzieć sobie na szereg pytań. Co jest ważniejsze? Doraźna potrzeba rzeklibyśmy „koniunkturalna" czy też bardziej długofalowa — „strukturalna"? Czy godzi się dla rozwiązania zagadnień dnia dzisiejszego uchylać elementy polityki długodystansowej? Czyli mówiąc obrazowo, czy należy strzelać z armaty, nie kartaczownicy nawet, do bliskiego i małego celu? Wreszcie, czy nie można pożądanych skutków osiągnąć innemi, dla danych celów właściwemi metodami? Jako też, czy przystoi poruszać ziemię i niebo, gdy wystarczy — nadużywając porównań — ruszyć rączką od bezpiecznika armaty aby nie wystrzeliła?

Nasza rzeczywistość gospodarcza, polityka z niej wypływająca i ją kształtująca, grzeszy chronicznie brakiem kośćca. Niby realizujemy preferencje dla szeregu krajowych surowców. Wkładamy w to wiele pracy, pieniędzy a najwięcej gadania. A rezultatów tego wielkich nie widać. W międzyczasie zaś coraz to dla danego przetargu zwolnimy przemysłowca z obowiązku domieszki krajowej wełny, wpuścimy zdziebko ponad potrzeby rynku sisalu, czy juty, względnie zniesiemy fundusz wyrównawczy na rzecz krajowych surowców niemal w środku roku gospodarczego. Tego rodzaju decyzje są zawsze możliwe wtedy gdy niema jasnej, długofalowej, stałej i zdecydowanej polityki w danej dziedzinie życia gospodarczego.

Niewątpliwie — gdyby nie było pomieszania zadań, które się realizuje i środków którymi się zmierza do ich realizacji, gdyby był przeprowadzony wyraźny rozdział pomiędzy rzeczami doraźnemi i obliczanemi na dalszą metę, przez wyraźne sformułowanie i wytknięcie tych ostatnich — uniknęłoby się nieporozumień. W danym konkretnym wypadku niedopuszczenie w interesie konsumenta do *nadmiernej* podwyżki cen mydła (pewna zwyżka *może* okazać się i nieunikniona i nieszkodliwa) mogło być osiągnięte bez uciekania się do kasowania elementów długofalowej polityki. Raczej należałoby zrezygnować z głębszej obniżki cen, która i tak jest bardzo płytka, bądź w wypadku gdyby nawet się okazało iż przerób krajowych surowców jest tak rentowny, że zbytecznym staje się fundusz wyrównawczy — sięgnąć po „ofiary" w tej samej nawet wysokości lecz bez naruszania czynników stałej polityki.

Poza tem należy sobie śmiało zdawać sprawę z tego, że wszelka polityka preferencyjna kosztuje, że wprawdzie w globalnym rozrachunku życia gospodarczego może się okazać iż nie kosztuje ona nic lecz może też spowodować podrożenie produktów danej gałęzi wytwórczości. Skoro więc decydujemy się na preferencję jakiegoś surowca czy artykułu krajowego, musimy się liczyć z możliwością jego podrożenia a nawet pogorszenia gatunku. Wówczas jednak nie wolno zapominać o względach pozagospodarczych, które preferencję przesądzają.

Z drugiej strony gdy zachodzi *potrzeba*, czy możliwość sięgnięcia po niektóre elementy owej polityki preferencyjnej, obrońcy poszczególnych „interesów" nie powinni zapominać o interesach, których nie bronią, zaś „robienie wiatru" dookoła tego rodzaju spraw może się łatwo przerodzić w sianie defetyzmu gospodarczego. No a kto sieje wiatr ten zbiera.... nieprzyjemne repliki. Innymi słowy ażeby zapobiec jakiejś decyzji nie koniecznie trzeba się ubiegać o poruszanie najszerszej opinii publicznej. Jako, że na każdego zwierza a więc i wróbla jest właściwa broń... nie zawsze armata.

p. k.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.